

Bratnia „przyjaźń” polsko-ukraińska

14 sierpnia 2023

„Przyjaźń” polsko-ukraińska kończy się tam, gdzie Warszawa zaczyna dbać o swoje interesy. Dobitnie pokazały to ostatnie tygodnie i napięcia w stosunkach z naszym wschodnim sąsiadem.

Ledwo miesiąc minął od spektaklu pt. „pojednanie polsko-ukraińskie”, jaki odbywał się przy okazji 80. rocznicy apogeum Rzezi Wołyńskiej, a już z Ukrainy płyną donośne grzmienia, że „Polska wybiera konflikt” i winna jest pogorszeniu wzajemnych stosunków. A wszystko dlatego, że „sługa narodu ukraińskiego” porzucił, przynajmniej chwilowo, realizowanie interesów swojego pana.

Już pod koniec lipca prezydent Zełenski pogroził palcem premierowi Morawieckiemu, który oświadczył, że Polska nie otworzy swoich granic dla ukraińskich produktów rolnych po wygaśnięciu moratorium KE. Ukraiński przywódca wskazywał, że takie działanie „jest niedopuszczalne”. Wtórował mu kijowski premier Denys Szmyhał, twierdząc, że decyzja Morawieckiego jest „nieprzyjazna i populistyczna”. „Ostrzeżenia” te jednak nie nawróciły władz warszawskich na „właściwą” drogę. Ukraińcom podpadł bowiem także prezydencki minister i szef Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz, który w TVP wygłosił niepopularną opinię, że „to, co najważniejsze dziś, to obrona interesu polskiego rolnika”. Podkreślił też, że polskie zboże musi zostać „dystrybuowane po odpowiedniej, godnej cenie”.

Na domiar złego Przydacz przypomniał Ukrainie, że „naprawdę otrzymała dużo wsparcia od Polski”. Słowa te rozjuszyły naszych wschodnich „przyjaciół” do tego stopnia, że swoje święte oburzenie wyraził zastępca szefa Kancelarii Prezydenta Ukrainy Andrij Sibiga. Co więcej, ambasador Bartosz Cichocki

został wezwany na dywanik do kijowskiego MSZ. Polski dyplomata usłyszał tam jasny komunikat, że podobne wypowiedzi są „niedopuszczalne”. Sibiga grzmiał natomiast, że słowa ministra Przydacza to „próby narzucenia polskiemu społeczeństwu [...] bezpodstawnych twierdzeń, że Ukraina nie docenia pomocy z Polski”. Oceniał też, że „to oczywista gra, która służy do tego, by realizować własne interesy” – a kto, jak kto, ale Ukraińcy na tym świetnie się znają. I to akurat jest dobra wiadomość, bo właśnie realizowaniem polskich interesów powinny zajmować się polskie władze. Szkoda tylko, że jest to efekt uboczny kampanii wyborczej, a nie stała linia polityczna.

Ukraińiec szybko jednak dodał, że owa gra „nie ma nic wspólnego z rzeczywistością” i zarzucił Warszawie manipulację. Zakomunikował także – do wiadomości „sług narodu ukraińskiego” – jaka jest „prawda”. Otóż „jest nią przyjazny i otwarty dialog między prezydentami Ukrainy i Polski, którzy mają wysoki poziom wzajemnego zrozumienia i zaufania”. Szkoda tylko, że przyjaźń prezydenta Dudy z prezydentem Zełenskim nijak nie przekłada się na realizację polskich interesów. Nowe światło na tę kwestię rzucają słowa rzecznika ukraińskiego MSZ, który wyjaśnił, że „przyjaźń ukraińsko-polska jest o wiele głębsza niż celowość polityczna”. A skoro tak, to już wiadomo, że będziemy Ukraińcom pomagać za wszelką cenę. Co więcej, ostrzegł, że „żadne deklaracje nie przeszkadzają nam we wspólnym dążeniu do pokoju i budowaniu wspólnej europejskiej przyszłości”.

Wygląda jednak na to, że – przynajmniej przed zbliżającymi się wyborami – władzom warszawskim od tej „przyjaźni” polsko-ukraińska aż się ulewa. Nawet sam premier rządu warszawskiego wyraził opinię, że wezwanie polskiego ambasadora do MSZ w Kijowie było „błędem”, choć pewnie niedługo dowiemy się, że takie błędy przyjaciom się wybaczają. Zapewnił też, że „interes żadnego innego państwa nigdy nie będzie stał ponad interesem Rzeczypospolitej”, co ze strony szefa rządu warszawskiego brzmi dość paradnie.

Widać, że zmiana wajchy nastąpiła także w polskim MSZ, który zdecydował się wezwać na dywanik ambasadora Ukrainy. Pech jednak chciał, że Wasyl Zwarycz nie przebywał wówczas w naszym kraju i ostatecznie na rozmowę udał się charge d'affaires ambasady Ukrainy. Nie przeszkodziło to stronie ukraińskiej, by po raz kolejny zrugać Polaków. Dyplomata stwierdził, że „nie ma nic gorszego, niż gdy twój wybawca żąda od ciebie opłaty za ratunek, nawet gdy krwawisz”. Przykład najwyraźniej idzie z góry, bowiem ukraiński ambasador już nam pokazał, że szczyt bezczelności leży w jego zasięgu. Nie dość przypomnieć, że w rocznicę Krwawej Niedzieli „oddawał hołd wszystkim cywilnym ofiarom – obywatelom II RP, pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach w latach II wojny światowej”. Wówczas Konfederacja domagała się, by Zwarycz został uznany w Polsce za persona non grata, lecz władze warszawskie udawały, że to tylko deszcz pada.

Mimo pojawiających się z rzadka symptomów otrzeźwienia, polska dyplomacja w relacjach z Ukrainą wciąż liczy, że wschodni „przyjaciel” łaskawym okiem spojrzy na nasze, wyrażane nieśmiało, oczekiwania. I choć po spotkaniu w polskim MSZ jego wiceszef Paweł Jabłoński przyznał, że wypowiedzi strony ukraińskiej „szkodzą dobrym relacjom”, to jednocześnie zapewnił, że Polska wciąż będzie wschodniego sąsiada wspierać. Jak się możemy domyślać, bezwarunkowo. W zamian „Polska oczekuje od Ukrainy gotowości do uwzględnienia naszego stanowiska m.in. w sprawie ochrony polskiego rolnictwa, ale też innych kwestii”. W przypiływie szczerości Jabłoński ocenił, że wypowiedzi, jakie padały ze strony ukraińskiej, „miały niewłaściwy, niepotrzebny charakter”. Ujawnił także tajemnicę poliszynela, że „w niektórych sprawach trudniej nam osiągnąć porozumienie”. Wskazał tu na kwestię ukraińskiego zboża oraz nierozliczonego ludobójstwa i blokowanych ekshumacji ofiar Rzezi Wołyńskiej.

W reakcji na warszawskie próby zawalczenia o własny interes prezydent Zełenski oświadczył, że Ukraińcy „doceniają

historyczne wsparcie Polski, która wraz z nimi stała się prawdziwą tarczą Europy". Jednocześnie pośpieszył z wyjaśnieniem, że na tej tarczy żadnego pęknięcia być nie może. Odnotował też „różne sygnały, że polityka czasami próbuje być ponad jednością, a emocje ponad fundamentalnymi interesami narodów” i zaordynował, co następuje. A mianowicie, że w stosunkach polsko-ukraińskich „emocje zdecydowanie powinny opaść”. O tym, że w ukraińskiej polityce liczy się pragmatyzm i zimna kalkulacja mówił też doradca Zełenskiego Mychajło Podolak. „Ukraina będzie uważać Polskę za swego bliskiego przyjaciela do zakończenia wojny, a potem między krajami rozpocznie się konkurencja” – przyznał szczerze.

Z kolei ukraiński publicysta Jurij Panczenko walkę władz warszawskich o polski interes złożył na karb kampanii wyborczej i prorokował, że ten ponad dwumiesięczny okres będzie czasem „trudnych relacji”. Zauważył też, że „inwazja na pełną skalę zmusiła polskie władze do zapomnienia o pretensjach wobec Kijowa”. Trudno się z nim nie zgodzić, wszak od lutego 2022 roku słyszymy, że Ukraińcy walczą za „wolność waszą i naszą” i nie wolno teraz od nich niczego wymagać. Panczenko podkreślił, że Polska jest „jednym z liderów”, jeśli chodzi o wsparcie dla Ukrainy. Wskazał też na zjawisko, które dla władz warszawskich może wydawać się szokujące, że „każde wsparcie ma swoje granice”, więc „oczekiwano, że z czasem polska polityka wobec Ukrainy powinna stać się bardziej pragmatyczna”. Odnotował jednak, że do niedawna „tylko polityczne marginesy” w Polsce mogły sobie pozwolić na wygłaszanie takich tez. Ubolewał też, że Polska może w końcu zacząć zgłaszać „swoje roszczenia” i to jeszcze przed końcem wojny. Wysnuł więc wniosek, że to Warszawa „wybiera konflikt” artykułując swoje interesy. Widać zatem, że Ukraińcy w polityce nie kierują się jakąś mityczną „przyjaźnią”, ale twardą niemiecką Realpolitik.

Władze warszawskie zrobiły już wiele, by pokazać, kto tu jest sługą, a kto panem. Kijów natomiast regularnie uświadamia nam,

że bratnia „przyjaźń” będzie trwała dopóty, dopóki Polska będzie Ukrainie potrzebna. Przy czym relacja ta polega przede wszystkim na oddawaniu Ukraińcom wszystkiego, czego tylko zapragną, zaś wszystkie próby wybicia się w tych stosunkach na niepodległość kończą się złowrogim pogrożeniem ukraińskim palcem.

Autorstwo: Marta Maciejewska

Źródło: NCzas.com